

„Special Project”

Postawiłem sobie w tym rozdziale zadanie trudne, nie wiem, czy wykonalne. Muszę w tej sytuacji zacząć od niezbędnych wyjaśnień. Wczesną wiosną 1975 roku uczestniczyłem w *Special Project*. O ile wiem, byłem pierwszym dziennikarzem, który dostał takiej możliwości, co zresztą nie jest istotne, bowiem moje uczestnictwo nie miało związku z moją profesją.

Nie był to z mojej strony żaden podstęp, nie pojechałem na reportaż, nie byłem zakamuflowanym obserwatorem. Wiedziałem zresztą, że w e j ś c i e w to doświadczenie wymaga wyzbycia się nawyku zawodowej obserwacji, nawet autoobserwacji. Nie bez pewnych kłopotów, mniejszych jednak niż przypuszczałem, udało mi się to osiągnąć.

Osobiste zatem doświadczenie, jakie stało się moim udziałem, nie wydaje mi się skażone zawodową interesownością; pod tym, ale tylko pod tym, względem nie różni się od doświadczenia pozostałych uczestników. Różni się zaś zapewne w kategorii przeżyć i doznań, albowiem są to sprawy indywidualne, mniemam, iż każdy wnosi tam i wynosi stamtąd coś jedynego, niepowtarzalnego. Przypuszczam, że relacja każdego z nas brzmiałaby zupełnie inaczej, aczkolwiek znalazłoby się w nich wiele momentów zbieżnych.

Czy taka relacja jest jednak możliwa? Czy jest celowa? I jeszcze, czy nie może być szkodliwa? Są to pytania, na które jest mi trudno do końca odpowiedzieć. Jest naturalnie możliwy zewnętrzny opis naszych działań, są też możliwe impresje, próbujące oddać coś z atmosfery tego spotkania. Jedno i drugie, niezależnie od intencji i możliwości autora, może wywołać u odbiorcy zafałszowany obraz. Opis działań może tyle powiedzieć o ich istocie i sensie, który miały tylko T a m, ile – chyba to dobra, choć bardzo odległa analogia – fizjologiczny opis aktu miłosnego może powiedzieć o miłości. Impresje zaś, które trzeba by było zabudowywać metaforami, niewiele jednak mogą k o n k r e t n e g o przekazać; mogą najwyżej dać przecucie czegoś, co zresztą pozostanie nadal niewyobrażalne. Najgorsze zaś, że ubieranie w słowa, nazywanie czegoś, co należy do bardzo ulotnych, bardzo intymnych zjawisk, które mogą zaistnieć między ludźmi, prawie zawsze będzie w większym lub mniejszym stopniu ich zafałszowaniem. Pisanie t a m jest niemożliwe, pisanie z zewnątrz, z dystansu czasowego to już pisanie o czymś innym, to już przetwarzanie wspomnień. Znowu posłużę się analogią. Dawno temu, gdy byłem jeszcze dzieckiem, poraził mnie prąd. Było to niezwykle i przykre doznanie; noszę to w sobie do dziś, gdybym wszakże miał to opisać, wątpię, czy zdołałbym przekazać to tak, by ktoś, kto nigdy nie włożył palca w gniazdko elektryczne, mógł z tego opisu coś naprawdę p o j ą ć. Otóż znajduję się w podobnej sytuacji, o czym m u s z ę czytelnika uprzedzić.

Czy wobec tego, mając świadomość, że będzie to relacja kaleka, podejmuję trud celowy? W ciągu kilku miesięcy, które upłynęły od tamtego doświadczenia, przekonałem się wielokrotnie, że istnieje potrzeba takiej relacji. Istnieje drastyczny wręcz głód informacji na temat tego, co się po prostu robi

w ramach przedsięwzięć nazwanych *Special Project*. Wy-
powiedzi Grotowskiego głód ten zaspokajają połowicznie,
niekiedy wręcz go zaostrzają. Grotowski mówi o Świącie,
Spotkaniach, *Special Project* w szczególny sposób; dostarcza
mało konkretnych informacji, pozwala zaś o d c z u ć pra-
wie wszystko. Odczuwają jednak niektórzy tylko, ci – sędzę
– przede wszystkim mogą być potencjalnymi kandydatami do
takich staży. Grotowski zresztą nie ukrywa, iż nawet za cenę
ryzyka nieporozumień i różnych ataków, zdecydowany jest
chronić wątłą roślinkę, która dopiero kiełkuje, ale – jest już
tego pewny – prędzej czy później zaowocuje. Być może jed-
nak nie wymaga ona już sterylnej klosza? W każdym razie
warto się zastanowić, czy fala plotki, sensacyjnych spekulacji
i nonsensów, które wypełniają luki w informacji nie niesie
niepotrzebnych i szkodliwych nieporozumień.

Można to wszystko zwyczajnie lekceważyć – Jerzy Grotow-
ski już wiele lat temu przestał się bawić w polemiki, sprostowa-
nia i dementowanie wielu insynuacji, jakie na temat jego
prac i osoby pisywano – ale, jak sędzę, istnieje autentyczne,
szerokie zainteresowanie społecznym ideami i praktyką Gro-
towskiego, zainteresowanie, z którym dość nieoczekiwanie
stykałem się nawet wśród bardzo prostych ludzi na tak zwanej
głuchej prowincji i – jako dziennikarz – czuję się zobowiąza-
ny spróbować wyjść temu naprzeciw. Rozumiem wszystkich,
którzy nie zadowalali się odpowiedziami-metaforami, którzy
przyciskali do muru: „no, dobrze, wszystko przyjmujemy za do-
brą monetę, uwierzmy ci, ale – powiedz, wreszcie, po prostu,
co to znaczy «rozbroić się», powiedz, co wyście tam robili?». Można
odpowiedzieć, trudniej przekonać, że jest to pytanie
niewłaściwie postawione. Jeżeli zjawisko noszące imię Gro-
towskiego staje się – jak to przyznają nawet oponenti – waż-

nym składnikiem naszej świadomości zbiorowej, może warto, może trzeba zasilić ją czymś, co pochodzi ze środka, ale nie od samego Instytutu Laboratorium? Jakimś mniej czy bardziej jasnym, ale przejrzystym w intencjach głosem świadka-uczestnika? Wierzę, że to potrzebne. Nie będzie zaś pełnym precedensem, gdyż po Uniwersytecie Poszukiwań cząstkowe relacje uczestników rozmaitych doświadczeń-stażów były publikowane; nie sądzę, by najbliższe miesiące nie przyniosły żadnych następnych.

Moja także musi być cząstkowa, dotyczy bowiem jednego konkretnego *Special Project*, różniącego się – i to gruntownie – od tak samo nazwanych przedsięwzięć realizowanych wcześniej i później. Świadomość owych różnic łagodzi we mnie obawy, że mógłbym oddać niechcący niedźwiedzią przysługę potencjalnym uczestnikom analogicznych Spotkań w przyszłości. Mniej prawdopodobne jest, że ten i ów mógłby przyjąć nawet podświadomie to, co zdarzyło się na początku roku 1975 na jednym k o n k r e t n y m *Special Project*, za jakiś wzorzec, a więc i jako wskazówki do tego, „jak się zachować”, z czyjejś spontaniczności uszyć sobie konwencję i przeżyć paskudne rozczarowanie. Mimo wszystko nie wolny od niepokojów, mogę im przeciwstawić jedynie wewnętrzne przeświadczenie, że p o w i n i e m to napisać, w gruncie rzeczy sam ryzykując najwięcej.

Wiedziałem, że Grotowski jest przeciwny dziennikarskiej obecności w *Special Project*. Było to logiczne, skoro doświadczenie to ze swej natury wykluczało bierny udział, a więc obserwację oraz udawanie, czyli pozorne włączenie się do działań. Zależało mi jednak na u d z i a l e, nie na tym, by pójść w charakterze podglądającego. Czy w związku z tym, że jestem dziennikarzem, nie będę miał szansy nigdy jako j a

ubiegać się o udział w takim stażu? Zadałem to pytanie Grotowskiemu na początku roku, kiedy w szatni Laboratorium, po przedstawieniu *Apocalypsis cum figuris* odnalazłem odręcznie sporządzony afisz: „D o k a ż d e g o , k t o m a n a t o o c h o t ę”. Tekst ogłoszenia był następujący: „Jeśli chcesz się spotkać z nami na stażu parateatralnym, który robimy w drugiej połowie marca 1975, zostań po *Apocalypsis* w sali, napisz parę słów o tym, czego szukasz i czego się spodziewasz po stażu z nami i przekaz o s o b i ś c i e Ryszardowi Cieślakowi. Grotowski”. Na samej górze podkreślenie: „aktorskie ambicje nie są potrzebne”.

Grotowski odpowiedział mi wtedy, iż osobiście nie uważa, by moja profesja automatycznie przekreślała moje szanse, mogę się ubiegać o udział, jak i inni. Organizowaniem grupy zajmuje się jednak Cieślak, muszę się z tym zwrócić do niego. Dobór grupy przebiega dość specyficznie, nie mogę więc liczyć – choć jest mi przyjazny – na żaden rodzaj protekcji. Nie wiedziałem, czy to nie delikatna forma odmowy. Do Cieślaka jednak się zgłosiłem. Nie napisałem nic, bo gdy się za to brałem, wychodziło mi coś, co oceniałem jako mniej lub bardziej inteligentną próbę adaptacji do sytuacji. Posądzałem siebie, że podświadomie staram się napisać tak, by mieć dobre szanse. A chyba przecież nie o to chodziło. Umówiliśmy się z Cieślakiem na rozmowę. Powiedziałem mu o wszystkich zamowieniach, płynących stąd, że trochę za dużo wiem o nich, zbyt blisko, chociaż od zewnątrz, otarłem się o dotychczasową działalność Laboratorium, bym się nie krępował mówić o czymś, co jest także m o j e, ale co bywa wypowiedane i nazywane przez Grotowskiego. Jedno z moich utajonych pragnień na pewno chyba wypływa z tęsknoty do „czystej gry”, czyli pełnej bezinteresowności wzajemnej w układach mię-

dzyludzkich, choćby krótkotrwałych. Jest to w życiu potocznym dosyć beznadziejne. Bardzo smutne jest i to, że choć nas coraz więcej, człowiek od człowieka jest bardzo daleko, jakby coraz dalej. Wydaje się, że – jakoś tak to czuję – wszedłem jakby ponownie w wiek... dojrzenia, to znaczy powrotu do wielu podstawowych pytań, niepokojów, nowego uwrażliwienia na niektóre zjawiska, które już sobie dawno racjonalnie wytłumaczyłem i rozpoznałem. Niektóre z moich niepokojów są „niepoważne”. Człowiek chyba zbliża się do punktu, w którym będzie musiał „przeskoczyć” samego siebie; patrząc inaczej, widzieć inaczej, czuć inaczej... Co to znaczy „inaczej”? Czy jest to możliwe, możliwe poza stanami nienormalnymi, to znaczy chorobowymi, narkotycznymi itp.?

Słyszałem zdanie, że *Special Project* jest między innymi jakąś próbą szukania w człowieku czegoś, co mu przyrodzone, a co zagubił w swoim cywilizacyjno-kulturowym rozwoju. Chciałbym poszukać z innymi, bez pewności, ale z nadzieją...

Jest to oczywiście streszczenie wspomnienia, ale właśnie mniej więcej taki był mój, osobisty, punkt wyjścia do rozmowy. Nie różniła się ona zapewne w swoim przebiegu od rozmów, jakie każdy prowadzi czasem z kimś zaprzyjaźnionym, z kimś, komu ufa. Było w niej – obustronnie – trochę wyznań, na które niecodziennie człowiek się zdobywa, ale nie była to spowiedź. W tej chwili sądzę nawet, że ze strony Cieślaka nie było to jakieś „rozpoznanie” przez rozmowę; w każdym razie chyba mniej istotne było, co mówimy, niż jak nam się rozmawia, jak dalece potrafimy się do siebie przybliżyć, czy łatwo moglibyśmy się zaprzyjaźnić. Czasami życie niesie nam takie miłe niespodzianki. Spotykamy kogoś, do kogo po godzinie nabieramy takiego zaufania, że w drugiej traktujemy go jak starego przyjaciela, a potem, długo potem przekonujemy się,

że intuicja nas nie zawiodła, nie mamy powodu żałować tej pozornej lekkomyślności. Dla ścisłości – była to moja druga w życiu rozmowa z Cieślakiem. Ale pierwsza – prywatna. W poprzedniej – udzielał mi wywiadu dla gazety. Pod koniec naszego spotkania powiedział, że prawdopodobnie będę mógł znaleźć się w grupie, którą kompletuje na *Special Project* przewidziany na koniec marca. Grupa jeszcze była niepełna. Cieślaka czekały rozmowy ze studentami w Warszawie i Gdańsku.

Zostałem uprzedzony, że istnieją dwie możliwości: dla niewielkiej, kilkusobowej grupy *Special Project* trwa około dwu tygodni. Wraz z kilkoma osobami z Laboratorium będzie przygotowywać trzydniowe Spotkanie, w którym weźmie już udział około pięćdziesięciu osób. Określenie „przygotowywać” może tu mylić o tyle, że chodzi tu nie o przygotowanie w sensie „zaplanowania imprezy”, ani nawet o przygotowania techniczne (choć pewne przedsięwzięcia o takim charakterze są niezbędne, ale to margines), lecz o rodzaj zaczynu, jakby – mówiąc przenośnie – rozniecenie ognia i podtrzymanie go do momentu, w którym nowi przybysze, wspólnie z nimi nasycą wąty płomień, przekształcą w wielkie ognisko. Cieślak zapewnił mnie, że dla obu grup uczestników jest to j e d n a k o w e. Funkcja pierwszej jest jednak szczególna. Jest ona reprezentatywna dla całej pięćdziesiątki, można rzec, iż jest grupą testową, która dostarcza elementów zapotrzebowania, z którego rodzi się materia późniejszego Spotkania. Grupa ta w pewnym stopniu określa działania następnej, która – przynajmniej teoretycznie – może wejść w coś, co ma już gotową strukturę, ale właśnie tego należy uniknąć. Istnieje jednak świadomość tego rodzaju zagrożenia. To pozwala mieć uzasadnioną nadzieję, że Spotkanie będzie autentyczne, to znaczy wypełni je to, co każdy sobą wniesie.

Zostałem na koniec uprzedzony, że decyzję o tym, czy wezmę udział w *Special Project* i ewentualnie w której grupie otrzymam drogą telegraficzną, a szczegóły – dotyczące przygotowania się – listownie. Wkrótce potem nadszedł telegram z pomyślną wiadomością, a następnie list:

„Mamy nadzieję, że dostałeś już nasz telegram i potwierdziłeś telegraficznie swój przyjazd. Jak już wiesz, oczekujemy Cię na okres trzech dni, w czwartek 3 kwietnia 1975 roku w sekretariacie Teatru Laboratorium – Wrocław, Rynek Ratusz 27 o godz. 11 rano. Weź ze sobą niżej wymienione rzeczy, ponieważ będą Ci niezbędne podczas naszego Spotkania. Potraktuj ten spis d o s ł o w n i e! Poza ubraniem, w którym przyjedziesz, weź:

1. trzy pary spodni i trzy koszule – najlepiej stare, połatane, ponieważ mogą ulec zniszczeniu,
2. jeden lub dwa swetry,
3. kurtkę,
4. kalosze, wysokie do kolan (nie do kostek, nie do pół łydki, tylko naprawdę wysokie),
5. około 100 zł na wyżywienie,
6. jeśli palisz – zapas papierosów na trzy dni,
7. swój ulubiony, najprostszy instrument, na którym chciałbyś grać lub użyczyć go innym,
8. oczywiście bieliznę osobistą, przybory toaletowe i co tam jeszcze chcesz.

Mamy nadzieję, iż domyślasz się, że jakoś trzeba będzie powrócić z Wrocławia do swego miasta, więc weź pieniądze na podróż.

To jest wszystko, co jest nieodzowne i co możemy przewidzieć, abyś wziął. Całą resztę pozostawiamy Twojej inwencji i potrzebom.

Czekamy”.

3 kwietnia kilkanaście minut przed wyznaczonym czasem zjawilem się w miejscu zbiórki. Większość przybyła przede mną. Spóźnili się trochę niektórzy z tych, co przyjechali z daleka. Przeważają ludzie w wieku studenckim. Takich jak ja, to znaczy wyraźnie po trzydziestce, jest niewiele, ale nie jestem sam. Wyglądamy jak grupa ruszająca na rajd. Grube kurtki, swetry, plecaki, ten i ów ma na ramieniu gitarę. Nie znamy się, ktoś kogoś kojarzy z jakąś uczelnią lub wydziałem, przeważnie mylnie. Mamy ciekawość siebie, ale odczuwamy też skrupowanie. Naprawdę zaś jest to trema przed nieznanym i podekscytowanie. Rozmawiamy niewiele. O niczym lub pogodzie. Wyjrzało właśnie słońce, ale kilka dni wcześniej padał śnieg. „Tamtym musiało być zimno” – z półsłówki domyślałam się, że martwiliśmy się o to samo.

Po oczekiwaniu, które nam się dłuży, odczytano „listę obecności” i zebrano po kilkadziesiąt złotych na wyżywienie. Produkty żywnościowe zostaną zakupione przez kogoś z Laboratorium i dowieszone samochodem. My wyjeżdżamy specjalnym autobusem. Droga trwa około godziny. Za Oleśnicą zaczynają się rozległe tereny leśne. Kilkanaście kilometrów za tym miastem, w okolicy pozbawionej zabudowań, stajemy. Przed nami kawałek pola, w głębi jakiś duży budynek bez okien, ale z dymiącym kominem, dookoła lasy. Jesteśmy na miejscu. Ktoś stamtąd pędzi do nas. To Zygmunt Molik. Otwiera bramę. Prowadzi. Kilkaset metrów polnej drogi i dochodzimy do tego budynku od strony podwórka. Czekają na nas.

Jest Cieślak, jest Elizabeth Albahaca, jest Antoni Jahołkowski; są ci młodsi, których nie znamy z przedstawień Laboratorium: Teresa Nawrot, Irena Rycyk, Andrzej Paluchiewicz, Jacek Zmysłowski; są też ci, którzy przybyli dziesięć dni przed nami. Wszyscy pogodni, jacyś ł a g o d n i. Pamiętaliśmy,

przypomniął to sobie któryś z nas przed samym wyjazdem, że dziś Cieslak ma imieniny. Przywieźliśmy mu zapas papierosów, jakieś drobiazgi: słodyczne, parę owoców...

Najpierw odbywa się „przeгляд” naszego dobytku. Nie bez powodu. Ktoś wziął o jedno spodnie za mało, ktoś ma zbyt krótkie kalosze. Trzeba uzupełnić braki. Na szczęście na miejscu są rezerwy, poratowano potrzebujących. Musimy odpowiednio posortować garderobę: wydzielić dwa komplety, które mogą ulec zmoczeniu, jeden, który może ulec zniszczeniu. Poszczególne komplety umieszczamy w różnych wskazanych miejscach: w „Wozowni”, w „Przedmaceczniku”. Zarazem poznajemy budynek, który będzie naszym domem. Jest to dawny młyn wodny z przybudówkami, kilkoma obszernymi pomieszczeniami; w największym – „Mateczniku” – znajduje się kominek. Na górze – obszerny strych. Naprzeciwko, po drugiej stronie potoku – zabudowanie, które poznamy później. Jeszcze szopa z opałem i drewniana „stróżówka”, funkcjonująca w chwili naszego przyjazdu jako podręczna kuchnia; można tu było napić się kawy, herbaty, ukroić sobie kawałek chleba, posilić się z doskoku. Bo na początek poproszono nas o włączenie się do pracy. Trzeba było rozbić duży namiot u wejścia do głównego budynku; służyć nam miał głównie jako szatnia. Trzeba było przewieźć opał, zebrać ściółkę w lesie, naprawić drewniany mostek nad rzeczką i bagnem... W sumie, jak na tyłu bardzo chętnych ludzi, pracy było niewiele. Potrzebna była nam chyba najbardziej do pewnego rozluźnienia, ruchu w nieznanym miejscu i terenie, wreszcie – to ważne – odegrała jakąś rolę jako pierwszy bodziec do zbliżenia między ludźmi, którzy kilka godzin wcześniej zobaczyli się po raz pierwszy w życiu. Poznaliśmy już swoje imiona – Ryszard zaproponował nam, byśmy używali imion i najprostszej formy zwracania się do siebie.

W czasie pracy pozbyłem się ekscytacji, odsunąłem na dalszy plan niepokoje i ciekawość: „jak to będzie?“, „czy dam radę?“, „czy czego nie popsuję?“. To, co było przedmiotem podobnych refleksji, jakby celowo opóźniało się. Skończyliśmy prace, zapadał wieczór. Ryszard jeszcze udzielił nam kilku niezbędnych informacji. Niektóre z działań będą wymagały pewnej znajomości topografii terenu, więc pokazuje nam, jak trafić na mostek i dojść do łąki; prowadzi też do bocznych drzwi, do których trzeba będzie dotrzeć w nocy po samotnej wędrówce lasem. Coś nam to zapowiada, ale przyjmujemy to już bez gorączki i bez lęku. Ci, których tu zastaliśmy, są przecież spokojni, pogodni, choć może trochę skażeni pewną niecierpliwością, niecierpliwością czekania na r a d o ś ć. Coś takiego w nich czułem, choć wtedy jeszcze tego nazwać nie umiałem. Wtedy wciąż jeszcze byliśmy w prologu naszej przygody. Przed namiotem rozpaliliśmy wielkie ognisko, odpoczywaliśmy przy nim. Była atmosfera biwaku, dobrego biwaku, na którym ogień staje się czymś żywym i przyjaznym, na którym zwykły chleb odzyskać może smak chleba. Krążyliśmy między ogniskiem a „Przedmiatecznikiem”, w którym znaleźliśmy kilka najprostszych instrumentów perkusyjnych, flety i gitary. Bawiliśmy się nimi. Czasami chaos dźwiękowy porządkował się, cieszyliśmy się narodzinami muzyki i melodii, która to nam rozwijała się, to przyszała...

Późnym wieczorem, może była jedenasta, może północ (zegarki zostawiliśmy w plecakach) nastąpiła taka chwila, kiedy wszyscy zebraliśmy się przy ognisku. Chyba dotkliwy chłód nas tak skupił. Siedzieliśmy ciasno. Niektórzy z nas parzyli gorącą herbatę, podawali innym. Wygaszały rozmowy, długo, pomalą, aż do ciszy zupełnej, której już nikt nie chciał zakłócać. Byliśmy cicho, bo mówił ogień, mówiła płynąca obok woda,

mówił las. Znam takie chwile z dawnych młodzieńczych wędrówek z przyjaciółmi i noclegów pod gołym niebem.

Irena i Antoni zapalili pochodnie, wyciągnęli do najbliższych dłonie. Ruszyliśmy za nimi długim łańcuchem w stronę łąki. Szliśmy coraz prędzej, coraz prędzej, zaczęliśmy biec, wpadliśmy na łąkę, łańcuch pękł, rozsypał się. Pochodnie gdzieś przepadły. Była noc, pęd, zimny powiew, mokra trawa. Usłyszałem okrzyki koło siebie. I sam krzyknąłem. Pomyślałem, że jestem niemądry i... krzyknąłem jeszcze głośniejsze. Odpowiedział mi O n. Upadłem, jeszcze raz, podniosłem się i już – bez potykania – rzuciłem się na ziemię dla samej przyjemności. Znalazłem G o, czy O n mnie. Tarzaliśmy się, jakbyśmy zapomnieli, że nie jesteśmy dziećmi. Znowu mnie przyszpiliła myśl, że jestem niepoważny; ale O n był przecież taki sam. Obok znaleźli się inni. Zziajany znieruchomiałem, czując obok, dokoła oddechy. I wtedy po raz pierwszy tego wieczoru zobaczyłem nad sobą rozgwieżdżone niebo. Najpierw rozkołysane moim zmęczeniem, potem coraz spokojniejsze. Ktoś zanucił. Nie, zanuciliśmy wszyscy. Była to pieśń bez melodii i bez słów, rosnąca aż po krzyk. Znowu rozgrzani wróciliśmy „do domu”.

W namiocie zrzucamy kurtki, pozbywamy się swetrów, zostawiamy buty, lekko odziani, bosy wchodzimy do „Matecznika”. Tu jest ciąg dalszy. Wpadamy od razu w rytm żywiołowego tańca. Ktoś zapala pochodnię, drugą, trzecią. Tańczymy z pochodniami, wśród pochodni. Tańczymy coś, co nie ma nazwy, nie ma kroku, nie ma „figur”, staje się ten jeden raz, dla nas i przez nas. Tracę oddech, obawiam się, że zemdleję. Wtedy dostałem w rękę pochodnię. Wpadam w nowy wir, odzyskuję lub wreszcie łapię własny rytm. To jakoś tak, jakby uchwycić całym ciałem puls własnego serca, wtedy robi się łatwo i lekko, przełamuje się zmęczenie...

Otwierają się drzwi. Ktoś popędził pierwszy, za nim następni. Boso po trawie. Do potoku. I wodą przed siebie. W noc. W śmiechu i krzyku. Gdzieś przed nami płomień na brzegu. Wyskakujemy z wody mokrymi nogami wprost w ogień. I odnajdujemy najprostszą z zabawek: przewieszoną nad wodą linę. Skaczymy na drugi brzeg. Coraz to któryś wpada do wody. Więc znowu w ogień i znowu na linę. Trwałoby to zapewne długo, ale kilku trzeźwiejszych czuwa, delikatnie nas wycisza. Wracamy. Pod dachem wskakujemy jeszcze w gorącą wodę, zmieniamy przemoczone ubrania. W „Mateczniku” zastajemy półmrok, na palenisku płomień. Lokujemy się dokoła. Odpoczywamy w półśnie, półczuwaniu. Ktoś usypia. Ktoś cichutko nuci. Zadrzemałem chwilę, oddalony od ognia. Czuję, jak ktoś delikatnie okrywa mnie kocem...

Lekkie dotknięcie w ramię. W gęstym mroku rozpoznaję Ryszarda. Mówi cicho: „przed wami krótka droga z zamkniętymi oczami, od każdego z was zależy, czy uda się ta przyгода”. Idziemy jeden za drugim, ze splecionymi dłońmi. Idziemy niepewnie, poza budynkiem teren jest nierówny, ale ostrzega mnie przed każdym rzeczywistym lub pozornym niebezpieczeństwem dłoń poprzednika, sam czuję się odpowiedzialny za tego, który idzie za mną. Kilka razy odganiem lęk i pokusę otwarcia oczu. Ufność jest jednak silniejsza. Słyszę pluskanie wody. Poprzednik obsuwa mi się w dół, przytrzymuję, odzyskuje równowagę, mnie ratuje ten za mną. Nie otworzyłem oczu. Idziemy płytką wodą, nie wiem, co przede mną, ale już się nie boję. Domyślam się, że chyba jesteśmy w tym samym potoku, co wcześniej, domyślam się, że idziemy pod nurt rozciągniętym na kilkadziesiąt metrów węzem. Stajemy. Cicho: „spróbujcie rozpoznać się przez wodę”. Łańcuch pęka. Zanurzam ręce w wodzie. Czyjaś mokra dłoń znajduje moją twarz.

Moje ręce robią to samo. Odnajdujemy innych. Jest nas kilku, nie wiem ilu. Skupiamy się, tak łatwiej utrzymać równowagę. Znowu nucimy coś, co nie napisane. Z góry spada kilka kropel wody. Może mi ktoś racjonalnie wytłumaczy to jako reakcję histeryczną, ale ta drobina wody na policzku była doznaniem niezwykłym, jakby pierwszym poznaniem deszczu. Ktoś za kimś powtarza, aby otworzyć oczy. Otwieram: wielka jasność i my wszyscy skupieni na przestrzeni... kilku metrów, ze słońcem w twarzach. Wrażenie zaskakujące. Ktoś płacze cicho.

Nie wiedziałem wówczas, że był to wciąż jeszcze wstęp, powolne wchodzenie w naszą przygodę, która miała swą kulminację – po całym dniu doświadczeń, wspólnych działań, odkrywania świata, szukania siebie, po radości improwizacji i tworzenia – następnej nocy, u schyłku której coś, co było jakby doświadczeniami cząstkowymi, zespoliło się, ogarnęło nas całych (może nie wszystkich, większość na pewno), eksplodowało...

Nie wiem, czy opowiem wszystko chronologicznie. W każdym razie rano przyniósł nam dosłowne długie wędrowanie. Przez las, łąkę, młody zagajnik. Jest zwyczajnie, n a d z w y - c z a j n i e zwyczajnie. Czuję w sobie wielki spokój, wyciszenie. W I c h twarzach coraz mniej codziennej szarości. Nic nie budzi krytycznego zdziwienia, śmiechu, odrzucenia. Mamy w tej wędrowce postoje. Rozbijamy się na grupy, jest trochę zabaw, misiowatego barszkowania. Dochodzimy do gromady dużych drzew. Obsiedliśmy je jak ptaki. Dawno już zapomniałem, w ogóle przestałem pamiętać radość wspinania się. Wspinania bez celu, dla samej przyjemności. T a m ją odzyskałem, choć dziś, znowu trzeźwiejszy, dostrzegam „nieprowagę” tej sytuacji, oglądanej z innej perspektywy. Wtedy dość długo – zwłaszcza jedna grupa – nie mieliśmy ochoty wracać

na ziemię. Potem odnaleźliśmy jezioro. Niektórzy zawarli z nim natychmiastową znajomość, skacząc do wody.

Śniadanie jemy w obszernym pomieszczeniu na poddaszu, prosto choć ładnie przystrojonym. Za „stół” służy długi biały obrus rozesłany wprost na podłodze. Jedzenia jest dużo. Kiełbasa na gorąco, sery, mleko, jaja, krążący dookoła stołu przysmak miodowo-serowy, kawa, herbata, woda mineralna. Nie łamiemy się opłatkiem, nie dzielimy jajkiem, nie składamy sobie życzeń, a nie jest to przecież zwykły posiłek. Jemy do syta.

Po śniadaniu wracamy do „Matecznika”. W kominku płonie ogień. Nastaje czas czekania. Jest w nim pulsowanie emocji, przyływy i odpływy energii, punkty wielkiej aktywności i pełnego wyciszenia. Od kilku przypadkowych dotknięć strun gitary, dochodzimy do wspólnie uporządkowanej melodii, z jednego skojarzenia wyprowadzamy naszą własną pieśń. W kilkunastu słowach wyraziliśmy – tak to odczuwało się T a m – bieg w otwartej przestrzeni, pełny oddech, wspólne czynienie. Zapewne nie stworzyliśmy przeboju. Ulotne utwory poetyckie, które tam się rodziły, muzyka, którą powoływaaliśmy, wszystko to powstało wtedy, gdy nam było potrzebne. Nie nagraliśmy niczego, bo nie tworzyliśmy na wynos. W tamtych okolicznościach wydawało to nam się niezwykle i piękne, choć naprawdę ważne było dochodzenie do tego. To staje się możliwe przy otwarciu na impulsy płynące od drugiego. Oto ktoś znajduje w kącie prosty instrument perkusyjny. Bawi się nim. Wystukuje rytm. Ktoś drugi mu odpowiada innym rytmem. Szukają się. Ktoś im pomaga nuceniem. Ktoś włącza się, robiąc sobie instrument z dwu kawałków drzewa opałowego. Po jakimś czasie mamy już dużą „orkiestrę” i własną improwizowaną muzykę. Jej rytmy odnajdujemy w sobie, w swoim ciele. Reagujemy. „Wchodzimy” w tę muzykę, odpowiadamy

na nią ruchem, gestem, nawet oddechem. Zaczyna się dzieć coś, co przez analogię do życia potocznego należałoby nazwać tańcem. Jesteśmy w nim c a l i. Przekraczamy, jak się okazuje – pozorne, bariery swoich możliwości, na przykład wydolności fizycznej. A kiedy człowiek napotka drugiego, idącego w tym samym rytmie, reagującego na każdy jego najdelikatniejszy impuls, to jakby odnalazł siebie samego w innym istnieniu. I jest to uczucie, jakiego potocznie nie zaznajemy. Dla mnie przynajmniej różni się od innych, doświadczonych w życiu, wzruszeń. Nie wydaje mi się wobec tamtych konkurencyjne; jest i n n e, stanowi jakby poszerzenie skali doznań.

Kiedy się wyciszyliśmy, straciłem poczucie czasu. Byłem przekonany, że jest już wieczór, może noc. Przychodzą do nas ci, którzy są tu dłużej. W ciszy, której starają się nie zakłócać, proszą po kilku z nas, byśmy poszli z nimi. Tak powstaje kilka grup. Ubieramy się ciepło w szatni-namiocie i wychodzimy w las. Jest jeszcze dzień. Trafiamy na polanę, następnie do miejsca, w którym żywią się zwierzęta i do wodopoju. „Rozpoznajemy się przez igliwie” (do tych „dziwnych” czynności jeszcze wróć) i dochodzimy do Drzewa. Piszę z dużej litery, bowiem to jedno drzewo, mogące być syntezą wszystkich drzew, stało się n a s z y m drzewem. Czuliśmy w nim bicie własnego serca (można to poczuć fizycznie). Wiem, że za zupełny irracjonalizm może mi być poczytane takie wyznanie. I chyba bym w ogóle o tym nie wspominał, gdyby nie przypadek budzący nadzieję, że to jakoś może być odebrane i na zewnątrz. Właśnie kiedy to pisałem, znalazłem w tygodniku „Polityka” wywiad z profesorem fizyki i poetą Grzegorzem Białkowskim, a w wywiadzie takie między innymi refleksje i wyznanie: „W rozumieniu i odbiorze świata bardzo istotny jest element emocjonalny. Kto wie zresztą, czy nadmiar erudycji nie zniszczy

czasem spontaniczności przeżycia estetycznego. [...] Pewnego poranku stanąłem w oknie, popatrzyłem na drzewo i nagle ogarnęło mnie uczucie, że na jakimś etapie ewolucyjnym byliśmy tym samym, kiedy nasze drogi – moje i drzewa – rozeszły się? Przecież ja mogłem być drzewem, a ono mną. Że tylko jakiś przypadek – stopień nasłonecznienia czy nawilgocenia zapewne w jakiejś słonej kałuży popchnął mnie w tym kierunku, że stałem się człowiekiem. I miałem w stosunku do drzewa uczucia całkiem braterskie [...] zupełnie dosłownie, poprzez wspólnotę krwi”¹.

Ostatnia noc przyniosła duże zagęszczenie działań, a z nimi trudne, nierozpoznane sytuacje, w których zwykły instynktowny strach przełamuje się poprzez poczucie wspólnoty, bliskości, wzajemną pomoc i ufność. Posiadaliśmy już wyostrzoną wrażliwość, reagowaliśmy emocjonalnie na bodźce, które normalnie w życiu potocznym rzadko do nas docierają. Dlatego wiele sytuacji, w których – gdyby spojrzeć z zewnątrz – nie było nic niezwykłego, przynosiło nam głębokie wzruszenia.

Od ogniska, przy którym spędziliśmy wieczór, przyrządzając kolację (mięso pieczone w ogniu), odchodzimy pojedynczo w stronę łąki. Powiedziano nam – jeszcze poprzedniego dnia – że powinniśmy orientować się na światelko pod lasem. Idę uważnie. Gdy ujrzałem światło, chciałem biec. Przyspieszam jednak tylko kroku. Zbliżając się, widzę w blasku płomienia tych, którzy doszli tu przede mną. Czekają na warstwie ściółki leśnej i siana. Z pnia najbliższego drzewa spływa do naczynia sok. Irena uśmiecha się. Podchodzę. Podaje mi naczynie. Wypijam łyk krwi drzewa. Od strony łąki zbliża się do

¹ Białkowski Grzegorz: *Całkiem serio i półzartem*, rozmawiała Krystyna Nastulanka, „Polityka” 1975 nr 50 (980), z 13 grudnia, s. 6.

Ireny następny przybysz. Jest w tym coś z najprostszego rytuału. Gdyby ktoś nas w tym momencie podglądał i słuchał, być może by to ocenił w kategoriach estetycznych, na przykład jako „piękną i wzruszającą sytuację”. Ja w niej w pewnym momencie wygasłem, kiedy poczułem – ze strony kogoś jednego między nami – oczy obserwatora. Jest to sprawa delikatna, której nie chcę rozwijać; mogę tylko powiedzieć, że wynikała z odczucia dysonansu emocjonalnego, co natychmiast blokuje i zamyka człowieka.

Kiedy znaleźliśmy się już wszyscy razem, ruszyliśmy w las. Po kilkunastu minutach wyszliśmy na zorane pole, rozjaśnione ogniem. Obok – duży worek ze zbożem. Ryszard: „Siejemy ziarno – s o b ą”. Jest to hasło-impuls, którego nie musimy interpretować. Zaczynam – blokada widać działa – w poczuciu fałszu. Może bym się wycofał, by nie przeszkadzać innym, ale odnalazłem drugą, jak ja zagubioną trochę osobę. Spróbowaliśmy razem aż do odczucia... ziemi. Jaśniej tego oddać nie potrafię, musiałbym wtedy wyjść z siebie i zobaczyć to z boku; może z dystansu umiałbym opisać, ale byłby to prymitywny opis jakiegoś tarzania po ziemi, bo w takim wypadku tak bym to chyba nazwał. Dla niektórych czymś podobnym są pewne sceny w *Apocalypsis*. Nie chcę z tego wysnuwać analogii, chcę wytłumaczyć, powołując się na przykład ułatwiający zrozumienie.

Wielki ogień na polu wygasa. Ryszard mówi nam, że nadeszła chwila, w której powinniśmy na godzinę się rozstać. Każdy sam w lesie. Wiedzieliśmy, że sygnał rogu, słyszalny w promieniu kilku kilometrów, poinformuje nas o upływie pół godziny, a potem seria przerywanych sygnałów będzie nam wskazywała kierunek drogi powrotnej. Wiedzieliśmy też, że teren jest trudny, trochę niebezpieczny, ale nie tak, by lękać się o życie. Odchodzę pewny, że w razie złej przygody pójdzie mnie szukać pięćdzie-

sięciu. Odchodzę jednak od nich z przykrością. Samotność była wtedy czymś bardzo trudnym. Z początku słyszałem tu i ówdzie, coraz bardziej oddalające się, trzaski gałęzi, odgłosy kroków, po jakimś czasie zostałem sam na sam z lasem. W potrzebie bliskości, zacząłem jej szukać dokoła siebie. Forsując potok, wpadłem w bagno. Drzewo podało mi gałąź, dzięki której wygrzebałem się z błota. Przytuliłem się do drzewa, poczułem nieco ciepła, odzyskałem poczucie bezpieczeństwa. Trochę się – jak to ze zwykłej perspektywy nazywam – rozegzaltowałem. W drodze powrotnej, na przełaj, w kierunku sygnalizowanym głosem rogu, przedzierałem się na oślep, pędzony niecierpliwością.

Do „Matecznika” wchodziło się bocznymi drzwiami przez przedsionek, w którym zdejmowaliśmy zabłocone kalosze. Wewnątrz – absolutna ciemność. Idę w nią. Czuję obecność ludzi. Orientuję się na oddechy. Trafiam w wyciągnięte do mnie ręce. Nareszcie. Czekamy razem na następnych. Trafia do nas dziewczyna. Chwilę się ucisza. Dochodzą dalsi. Reakcje, obustronnie, silne. Poczucie bliskości osiąga tu chyba punkt szczytowy. Czy wszyscy wrócili? Ryszard w ciemności wywołuje nas po imieniu...

Kiedy zapłonęło światło lampy gazowej, ujraliśmy pod jedną ze ścian „Matecznika” usypane na ziemi ziarno. Jak w wyćwiczonym chórze wyrwał nam się równoczesny okrzyk. Obmywaliśmy sobie wzajemnie twarze ziarnem, kapaliśmy się w ziarnie. Aż zmyliśmy z siebie całe zmęczenie.

Mieliśmy jeszcze tej nocy radość dzielenia się z drugimi jabłkami, które odnajdywaliśmy w wypełnionym słomą pomieszczeniu dawnego młyna. Mieliśmy sprawdziany odwagi i zaufania w możliwości, których każdy sam w sobie nie posiada wiele, ale w grupie sumują się w siłę. Taką próbą była „wycieczka” w jezioro, zimne, zamulone, droga przez wodę

siegającą pasa i wyżej, dnem grząskim, niepewnym. Dalej był skok z wysokiego brzegu w nierozpoznaną głębię spiętrzonego strumienia. Było ubezpieczenie – w postaci rozpiętej siatki, ale to już w ramach – nazwijmy to bhp – bez tego też byśmy przeszli tę wodę, by znaleźć się na drugim płonącym brzegu. Wejście w ogień, kiedy się wchodzi bez lęku i w rytmie własnego pulsu, jest bezpieczne, może być przyjemne. Tańczyliśmy w nim aż do pełnego rozgrzania, potem przenieśliśmy się do „Matecznika”, gdzie nastąpił finał Spotkania. Było to tak, jakby zerwana została ostatnia tama, zalała nas i poniosła fala. Przez „taniec”, obmycie z piasku i gliny, osuszenie w sianie, wreszcie oszałamiającą zabawę na podłodze, na którą wylano wielką beczkę wody oraz zarzucono tratwę. Mamy potargane ubrania, większość pozbywa się ich, pozostając w samych spodenkach. Jesteśmy ubłoceni, lecz właśnie teraz mamy poczucie fizycznej czystości. Pachniemy jak ziemia, jak łąka, jak woda w źródle. Długo trwa nasze ostatnie wyciszanie. Czujemy, że To się kończy. Ktoś chce przedłużyć, wybiega do rzeki. Kąpię się, nie czując w ogóle zimna. Wracam do kominka. Muszę się osuszyć, nie mam już zapasowej bielizny. Schnie na mnie. Na zewnątrz budzi się ranek.

Ubieramy się w to, w czym przyjechaliśmy. Pozostałe rzeczy zostaną przewiezione do Wrocławia nyską. Zbieramy się do odejścia. Po drodze zatrzymujemy się przy Drzewie. Ryszard rani je siekierą. Odczuwam wstrząs. Musimy zabijać i ranić inne istnienia, by trwać. Każdy podchodzi do drzewa. Każdy inaczej. Na koniec Ryszard zalepia ranę ziemią. Jest cicho i smutno. W milczeniu dochodzimy do drogi, na której już czeka na nas autobus do Wrocławia.

Mam nadzieję, że powyższa relacja mówi sporo o charakterze n a s z y c h d z i a ń (warto tu przypomnieć, że

różnice między poszczególnymi realizacjami *Special Project* bywają znaczne i zależą zwłaszcza od uczestników, a także miejsca i czasu), trochę o przeżywanych w nich stanach emocjonalnych, w znikomym zaś stopniu t ł u m a c z y niektóre reakcje. Moje możliwości, konkretnie zaś kompetencje, nie sięgają tu tak daleko, bym mógł czytelnika wzbogacić o coś więcej, niż kilka własnych refleksji i uzupełnień.

Nasze działania – w sumie będące niecodziennym doświadczeniem – w rozbiciu na poszczególne czynności nie są czymś Specjalnie niezwykłym. Niektóre, cząstkowo, bywają przez nas doświadczane, mniej lub bardziej intensywnie, także w życiu codziennym. W stanie zaczynowym tkwią w różnych naszych życiowych działaniach, przygodach, zabawach. W *Special Project* następuje jednak duże zagęszczenie tych sytuacji oraz pewne uporządkowanie. Bo chociaż ludzkiej treści i nośności poszczególnym działaniom nadaje spontaniczność reakcji, one same są na pewien sposób zaplanowane. Zaplanowane w tym sensie, że określony jest kierunek oraz pewne punkty, do których powinno się dotrzeć. Nie istnieje natomiast żaden plan drogi; warianty wyboru lub wytyczania dróg i ścieżek są praktycznie dla uczestników nieograniczone. Jest zatem jakiś szkielet doświadczenia (potrzebny, by uchronić się przed chaosem), obrastający w trakcie działań żywą tkanką impulsów, reakcji, emocji, wnoszonych przez uczestników, wymienianych między nimi, inspirujących ich wzajemnie. Szkielet ten nie jest trwały, ani dany z góry. W przedsięwzięciach podobnych do opisywanego tu *Special Project* konstruuje go pierwsza, mniejsza grupa, o czym już wspominałem. Możliwe, że te informacje, jak i cała relacja w chwili dotarcia do czytelnika będą mieć już tylko jakieś znaczenie historyczne, gdyż dotyczą bardzo dynamicznej fazy poszukiwań Instytutu Grotowskiego. O tym jednak

będzie w rozdziale następnym. Wracając zaś do faktów będących przedmiotem obecnych refleksji, trzeba podkreślić, że nawet przy najdoskonalszym, a zarazem najdelikatniejszym zaplanowaniu technicznych okoliczności Spotkania, niewiele z tego wszystkiego mogłoby wyniknąć bez spełnienia jednego podstawowego warunku. Chodzi o to, co Grotowski nazywa *r o z b r o j e n i e m*, a właściwie wyjściem *k u* rozbrojeniu, ponieważ jego pełnia jest bardziej ideałem, niż realną możliwością w naszych warunkach cywilizacyjnych. Otóż nawet jeden krok *k u* może być trudny. Jeśli się nosi w sobie dużą gotowość, może nastąpić szybko, o ile są sprzyjające okoliczności. W innych przypadkach wymaga dłuższej i trudniejszej drogi, niż ta, którą myśmy przeszli. W jeszcze innych być może jest to w ogóle niemożliwe. Są po prostu ludzie o różnych dyspozycjach i potrzebach, a te różnice same w sobie nie świadczą o jednych czy drugich ani dobrze, ani źle.

Jeśli wiem rzeczywiście, czym jest takie przybliżanie *k u* rozbrojeniu, jest to przede wszystkim *w y z b y w a n i e* s i ę *l ę k u* wobec innych. Tego się nie da zaprogramować, wmówić sobie, czy zmusić siebie do tego. To w pewnych okolicznościach może stać się lub nie. A gdy się staje, to jakby opadały filtry, regulujące i blokujące dopływ światła; można rzeczywiście zacząć widzieć *i n a c z e j*, a przez to może właśnie *g ł ę b i e j i p r a w d z i w i e j*. To „widzieć” znaczy *t a k ż e o d c z u w a ć, r e a g o w a ć, d z i a ł a ć*. Przestać się bać (bać ludzi, nierozpoznanych sytuacji, bać śmieszności itd.), a to w trakcie *Special Project* staje się stanem naturalnym, oznacza otwarcie sobie *n o w y c h m o ż l i w o ś c i*. Dla mnie na przykład – człowieka, jak nie bez podstaw sądziłem, skrzywdzonego przez los, nie obdarzonego głosem, ni słuchem – wstrząsem było *T a m* odkrycie, że *ś p i e w a m*.

To wyjście z lęku, otwarcie na drugich stoi – jak sądzę – u podstaw największego fenomenu *Special Project*, jakim jest niespotykane przyspieszenie procesów integracyjnych, które kilkudziesięciu obcych – choć odpowiednio dobranych – sobie ludzi w ciągu niewielu godzin scalają w prawdziwą grupę. Sprzyjają im z pewnością wspólnie przebyte trudne próby, w których pojedynczo człowiek byłby w rozpaczliwej i nonsensownej sytuacji. A także – pewne wspólne „wtajemniczenia”. Nie mam na myśli żadnej magii. Mam na myśli dotarcie w sobie do pewnych warstw wrażliwości, mocno stępionych w życiu codziennym, oraz coś, co dyletancko nazwałbym odnowieniem lub oczyszczeniem zmysłów, które w nas też są w znacznym stopniu skonwencjonalizowane. Na przykład zmysł dotyku, którego receptory posiadamy przecież na każdym milimetrze skóry, który może dostarczyć nam całego ogromu bogatych w odcienie wrażeń, z czego normalnie mamy znikomy – wobec możliwości – pożytek. Tymczasem skórą można niemal... widzieć, niemal słyszeć, niemal rozmawiać, co zresztą stwierdzają także doświadczenia współczesnej psychologii eksperymentalnej. Kiedy ustają blokady, inna staje się intensywność reakcji emocjonalnych, przesuwa się próg wrażliwości. Pojawia się nadwrażliwość, która – sądzę – nie ma tutaj nic wspólnego z reakcjami histerycznymi.

Dziwi mnie do dzisiaj, że na naszym Spotkaniu po jakimś czasie przestaliśmy... mówić. Komunikacja słowna stała się prawie całkiem zbyteczna. W każdym razie była ograniczona do minimum, sprowadzając się do najprostszych pytań, ostrzeżeń, lakonicznych informacji. Zanikła zaś stopniowo zupełnie potrzeba rozmów, wyznań, wspomnień, poznawania przez słowo mówione. Dochodząc do innych, prostszych i mniej sztucznych możliwości porozumienia, traciliśmy uf-

ność do porozumienia werbalnego. Choć na co dzień uważamy – zapewne słusznie – iż nie posiadamy lepszego narzędzia międzyludzkiego kontaktu, każdy miewa okazje przekonywać się, że język nie jest narzędziem doskonałym (boleśnie to odczuwam, jako autor tej relacji), że słowami równie często odślaniamy, co zasłaniamy prawdę, a nawet gdy mamy najszlachetniejsze intencje, to c o z n a s przekładamy na słowa, ulega podwójnemu zniekształceniu: w samym przekładzie i w odbiorze. Otóż są – teraz wiem, że są – inne możliwości przekazywania komuś siebie, własnych emocji, dzielenia radości. Może są one bliskie temu, co posiadają bardzo małe dzieci, zanim się tego oduczą? Co z tego wynika lub może wyniknąć? To pytanie jest dla mnie otwartym. Zawężając rzecz do osobistego doświadczenia, wiem, że poszerzyło mi ono – co prawda jednorazowo – skalę doznań. Wiem, że było to coś szlachetnego, dobrego, pięknego.

Pożegnanie – po zakończeniu Spotkania – było trudne, nawet bolesne, ale nie było w tym niechęci powrotu do życia potocznego. Zbieg okoliczności sprawił, że w codzienność zostałem wrzucony ostro, nawet brutalnie. Pod moją nieobecność syn miał wypadek, był operowany. Wróciłem natychmiast do wszystkich swoich ról. Wróciłem z dużą energią. Nie wiem, jakie znaczenie miał tu epizod z wypadkiem dziecka, szczęśliwie w skutkach niegroźny. Jakiś czas bliscy odczuwali w kontaktach ze mną pewną i n n o ś ć, którą odbierali zresztą przyjaźnie. Sam jakiś czas czułem pulsowanie w sobie r a d o ś c i, której T a m doświadczyłem. Chyba to bywa widoczne na zewnątrz. Kilka dni po powrocie, idąc ulicą w towarzystwie przyjaciela, minąłem się z jedną z uczestniczek naszej przygody. W pośpiechu tylko skinęliśmy sobie głowami i wymieniliśmy uśmiechy. Przyjaciel zapytał:

„To dziewczyna s t a m t ą d?”. „Skąd wiesz?”. „To po prostu widać”. „Zachowaliśmy się jakoś nienormalnie?”. „To nie to, wyście się uśmiechnęli tak n a p r a w d ę”.

Czasem tęsknię do powrotu T a m, w sytuacji, w których człowiek człowiekowi może być... narkotykiem, a z drzewem można się pobratać. Wiem przecież jednak, że moje miejsce jest po tej stronie. Tamto pozostało mi jako już odległe w czasie, lecz r e a l n e źródło, które w trudach codzienności przydaje siły.

(1976)